

Wiatr od Tatr, czyli kany ta honorność

Kilka lat dzieciństwa przeżyłem w Bukowinie Tatrzańskiej. Potem w Warszawie, jak pies na płocie; Podhale tkwiło z tyłu głowy, uwierało, nie dawało się zapomnieć. Koledzy czytali o Dzikim Zachodzie, Sherlocku Holmesie, słuchali Radia Luxembourg. Moją rajska dziedziną uludy, niezbędną by przeżyć i nie zwariować, było *Na przełęczy*, *Na Skalnem Podhalu* i co góralskiego czy pseudogóralskiego w rękę wpadło. Jeździłem w Tatry, kiedy tylko mogłem, czternaście godzin pociągami osobowym przez Warę, Radom, Skarżysko-Kamienną, Kielce, Miechów, Kraków, Suchą, cóż to była za frajda. Próbowałem nawet zostać taternikiem, co mamę przejmowało źle maskowanym strachem, a resztę ludzkości politowaniem. Cztery lata przepracowałem w dziale etnograficznym Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Może nie tyle przepracowałem, co byłem na etacie.

Góral podhalański – honorny, inteligentny, religijny, odważny, duchowo niezależny, utalentowany, godzien respektu, ani odrobinę nie kiczowaty ani farbowany, kazby ta – stał się dla mnie oczywistością, punktem odniesienia.

Z Łemkami zetknąłem się na początku lat 80. Prędzej czy później musiało nastąpić tak zwane zderzenie kultur. Pierwsze zasłyszane cierpkie uwagi o podtatrzańskich juhasach pasących na Łemkowszczyźnie były dla mnie trudne do przełknięcia. Po jakimś czasie uznałem, że są pozytywne, bo stawiają w innym świetle sprawy, o których naiwnie sądziłem, że je nieźle znam.

Podhalańscy osadnicy pojawili się w Beskidzie Sądeckim i Niskim w latach 40., wkrótce po dwóch falach wypędzeń rdzennych mieszkańców. Przebudowali łemkowskie chyże na góralskie chałupy (Jaworki, Mochnaczka, Banica – widać to do dzisiaj). Dobrze im szło gazdowanie, byli obeznani z gospodarką rolną na terenach górskich. Większość z nich wrosła w nowe miejsca. W Banicy założyli nawet zespół śpiewaczo-taneczny. Ale kiedy w 1997 roku ktoś zaproponował, by uczcić półwiecze miejscowej parafii rzymskokatolickiej, Jan Kanty Stasik, z pochodzenia Podhalańin, odradzał:

– My jesteśmy tutaj od pięćdziesięciu lat. Ale tyle samo czasu nie ma tutaj Łemków¹.

Po latach 40. przyszedł 50. Powołano Tatrzański Park Narodowy, zaczęła się likwidacja pasterstwa wysokogórskiego. Pierwszy redyk z Podhala wyruszył w Małe Pieniny, następne w Beskid Niski i Bieszczady. Trzeba było wykarmić owce, rozmnożone na niespotykaną skalę skutkiem hitlerowskich przepisów (okupanci nakładali kontyngenty na mięso wołowe, baranina im nie smakowała).

W Bieszczadach po wojnie domowej i przesuwaniu granicy prawie nie było autochtonów. Inaczej w Beskidzie Niskim. Część miejscowych nie dała się wysiedlić. Adam Chowaniec z Łabowej osiem lat żył w zamaskowanej leśnej ziemiance na stokach Margoni. Na jego dymną czyli kurną chyżę, pozostawioną we wsi, nikt z osadników jakoś się nie połakomił. Powrócił do niej mniej więcej wtedy, gdy Władysław Gomułka do Białego Domu. Niektórzy Łemkowie zostali, bo w porę zmienili obrządek na rzymskokatolicki albo odważny proboszcz z sąsiedniej polskiej wsi powystawiał im lipne świadectwa chrztu. Ale był to sposób niepewny, władza nie tak łatwo dawała się mamici. Rodziny K. nie wysiedlono – tato czyli няню był dróżnikiem, czyścił rowy i latał dziury w cesarskim gościńcu, piastował więc stanowisko o strategicznym znaczeniu. Część wróciła z wygnania w 1955-1956 roku. Więc ludzie byli. Bardzo niewielu, w porównaniu do stanu przedwojennego około dziesięciu procent, ale byli. Tutejsi, gazdowie z dziada pradziada, okaleczeni psychicznie, poznaczeni nieludzką krzywdą. A naprzeciw nich podhalańscy pasterze – zdobywcy, konkwistadorzy, poczynający sobie jak w podbitym kraju.

Łemkowie, z którymi o tym rozmawiałem, mieli największy żal do górali o dewastację kapliczek i przydrożnych krestów, wypas na cmentarzach i obsianych polach uprawnych oraz zamienianie cerkwi w stajnie dla owiec i bydła (mogę wymienić kilka, choć sprawy nie drążyłem, jedynie starałem się zapamiętać co opowiadano). Teodor Kuziak, urodzony w Bartnem, namalował obraz przedstawiający wystrojonego Podhalańca, wpędzającego owce do cerkwi w Bielicznej, i podpisał: „Góralu, czy ci nie wstyd...”. Kierdel przed wyruszeniem w drogę był zwyczajowo kropiony wodą święconą, każdy redyk wyruszał w asyście Jegomościa – ale jakoś, o ile mi wiadomo, nie znalazł się duchowny, który by wyjaśnił swym wiernym, że cerkiew to świątynia, jak w Ludźmierzu, Dębnie, Harkłowej, Kościelisku. Lecz góralska bogobojność przecie nie zamarała. Opowiadano, że gdy owce spędzono do cerkwi, a baca z juhasami ułożyli się do snu na chórze, ktoś dla śpasu nakrył głowę białą płachtą, stanął za carskimi wrotami i jęknął: „Uuuu, Hospody pomyśluj, uuu!”. Juhasi w jednej sekundzie zerwali się i rzucili do ucieczki, przepychając na schodach, któryś spadł, złamał nogę. A więc jednak czuli na swój sposób, że są w miejscu uświęconym.

Nie widziały się góralom, pasącym w Beskidzie Niskim, miejscowe krzyże. Nie do takich przywykli. Jedne z dolną belką skośną, inne podwójne lub potrójne. Wśród katolików obrządku łacińskiego żyje legenda o sroce, która porwała gwoździ, kiedy Chrystusa przybijano do krzyża, więc nałożono stopy na siebie i przebito jednym gwoździem. Chrześcijaństwo wschodnie nie zna tego apokryfu, stopy Ukrzyżowanego na Łemkowszczyźnie są (na ogół) jedna obok drugiej, przebite dwoma gwoździami. Jeśli był malowany na blasze, wystarczyło odłamać albo po prostu nie odnawiać, sama rdzewiała. Kamienne figury na ogół przetrwały. Za to drewniane czy metalowe poprzeczki krzyża dość łatwo odpiłować. Od razu robi się świątobliwiej, prawda?

Podobnie traktowano wnętrza cerkwi, zamienionych w kościoły zachodniego obrządku. O tych dewastacjach sporo pisano; dodam jedynie, że osadnicy bardzo nie lubili słowa „cerkiew”. „To jest kościół, proszę pana, nie cerkiew” – poprawiano mnie dobitnie. Osadnikom szczególnie zależało, aby cerkwie nie były cerkwiemi. Zabiegali o to również w języku. W ich mniemaniu była to, jak przypuszczam, forma pobożności. Powstał dziwny podział: słowa „cerkiew” używali inteligenci i turyści, słowa „kościół” głównie miejscowi.

Taka pobożność, wymieszana z tępą agresją, objawia się co jakiś czas w różnych formach. W Zakopanem wybuchła afera, bo plastik, projektując plakat imprezy folklorystycznej, namalował gigantyczną ciupagę wbita w Giewont, ale bez krzyża. Dopatrzone się w tym zamachu na religię i tradycję podhalańską. Innym znów razem, nie w związku z powyższym, na ulicy Kościeliskiej powieszono transparent „Brońmy krzyża na Giewoncie”, a gdy po paru miesiącach w miejscowej gazecie ukazał się felieton, że płótno wyblakło, jest brudne, wiatr je poszarpał, należałoby zdjąć – miejscowy duszpasterz strasznie się oburzył na autora: „Nam tu nie potrzeba takich górali ze wzgórz Golan!”.

Podniosła się fala oburzenia, gdy w telewizji pokazało przez sekundę Giewont z wymiksowanym krzyżem.

Mimowolnym sprowadzeniem takiego sposobu myślenia *ad absurdum* było kazanie w kościele na Bystrem, potępiające reklamę papieru toaletowego, białego baranka, który duszpasterzowi skojarzył się z wielkanocnym. Świętokradztwo! Była z tego międzynarodowa beczka śmiechu.

Bodaj najbardziej dojmujący konflikt łemkowsko-podhalański trwa wokół greckokatolickiego cmentarza w Czertyźnie, nieistniejącej wsi powiatu gorlickiego. Hruby Gazda imieniem Jan – rolnik, budowlaniec i biznesmen – urodził się i mieszka w sąsiedniej Banicy, ale jego przodkowie wywodzą się z Ochotnicy Górnej, serca Gorców. Sprawił sobie cyfrowane portki, wdziewa je na szczególne okazje. Udzielił obszernego wywiadu w sprawie cmentarza, a sposobiąc się do fotografii, wsadził na głowę kłobucek i uniósł w górę ciupagę, jakby zamierzał odtąńczyć zbójnickiego.

– Janosik mnie tu przezywają – oznajmił skromnie.

Z dumą podkreśla swe góralskie pochodzenie. W tym miejscu można by przypomnieć, że w dawnej gwarze podhalańskiej istniało ogólnie zrozumiałe pojęcie *honorność*. Można by też powtórzyć siedem grzechów głównych z katechizmu (pierwsze pycha, drugie chciwość), zacytować *Wskazania dla synów Podhala* Władysława Orkana oraz rozmyślania o szczególnej religijności górali, autorstwa innego piewcy tej ziemi. Ale byłoby to nieznośnie cikliwie, lepiej trzymać się faktów².

W lipcu 1994 roku rodzina Madzelańców ogrodziła cmentarz w Czertyźnie, na którym leżą ich przodkowie. Jesienią tegoż roku Hruby Gazda kupił od Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa 61 hektarów wraz z cmentarzem, którego jakoby nie było na mapach, więc Agencja o nim nie wiedziała, choć był otoczony parkanem i miał dwujęzyczną tablicę informacyjną. Nowy właściciel wybrał się pod Gorzów Wielkopolski, dokąd wysiedlono Madzelańców, i zaproponował odstąpienie dwóch hektarów lasu wraz z cmentarzem, za niemalą sumę.

– Ty chcesz kośćmi naszych dziadów handlować?!

– Bede kcioł, to spychem rozepchom vos cmentaryk, to je moje³.

Po skargach do prezydenta Kwaśniewskiego Hruby Gazda zobowiązał się na piśmie, że nieodpłatnie przekaze cmentarz parafii greckokatolickiej w pobliskiej Śnietnicy. Upłynęło kilka lat, nie przekazał⁴. Ludzie prawdę gadają, że na Podhalu prawo jakoś się nie przyjęło. Najwyraźniej ta góralska norma zapuszcza korzenie w Beskidzie Niskim.

Nie jestem prawnikiem, lecz biorąc na tak zwany zdrowy rozum – los cmentarza, miejsca o szczególnym znaczeniu, nie powinien zależeć od czyjegoś widzimisie. Czy Agencja, instytucja państwowa, może go sprzedać osobie prywatnej? Jeśli mimo wszystko tak się stało, przyjmijmy że z niewiedzy czy skutkiem urzędniczego błędu, jest za ów błąd odpowiedzialna i winna go naprawić. Góralska *honorność* jakoś nie przyszła z pomocą, jako że nie jest pojęciem z kodeksu cywilnego, ani nawet, jak się okazuje, nie należy do współczesnego obyczaju. Bo przecie jeśli ktoś mieni się góralem, to liczy się z opinią góralską. A ta, jak widać, jest w tej sprawie głucha. Dziś prawdziwych górali już nie ma?

Gdy dolina Czertyźnego jeszcze była w gestii państwowej, przy drodze ktoś postawił „ruski” krzyż, zbity z okruglaków, z napisem: НА ТОМУ МІСЦІ СТОЯЛА ЧЕРТИЖНЯНЬСКА ЦЕРКОВ (w tym miejscu stała czertyżniańska cerkiew). Gdy grunty przeszły w ręce Hrubego Gazdy, krzyż zniknął.

Wybrałem się tam jesienią piętnastego roku. Cmentarz był, lecz tabliczka ЦМІНТИП СМЕНТАРЗ leżała w krzakach. Kto ją zerwał – niedźwiedzie, jelenie?

To nie jedyna taka sprawa. Piotr Czuchta ze Zjednoczenia Łemków mówi o cmentarzach w Kryweju i Bielicznej. „Następne szykowano na sprzedaż w najbliższym czasie”.

Każda z tych krzywd to osobna historia. Jedno mają wspólne: w żadnej z nich nie ma co liczyć na wsparcie, zdawałoby się oczywistego, sojusznika – ruchu podhalańskiego, skądinąd zasłużonego i prężnego. Łemkowie świetnie o tym wiedzą.

Więc *kany* to poczucie chłopskiej wspólnoty, którą głosił Orkan, ta *honorność*? Albo *kajsi sie straciła*, albo po prostu nigdy jej nie było, zaś wykreowali ją na swój użytek młodopolscy artyści. Na przykład Kazimierz Przerwa-Tetmajer, który pouczał górali, jak należy odczytywać legendę o śpiących rycerzach:

Cy som nie jest w naskik chłopskik piersiak zaśpioni śpiący rycerze i cy pote ta skała, kany śpiom, to nie my?... .

Czy to oznacza, że prawdziwych góralskich herosów – takich młodopolskich: krzepkich, inteligentnych, utalentowanych, ale przede wszystkim honornych – już nie ma?

Ależ są, tylko dostosowali kostiumy do współczesnych potrzeb. W czasach neoromantyzmu byli neoromantyczni, zaś w naszej epoce dysko-błysko odgrywają swą rolę w podobny sposób, ale po dzisiejszemu. Zmieniają się jedynie zewnętrzne formy kiczu, co jest rzeczą oczywistą, bo kicz ma to do siebie, że dostraja się do aktualnych prądów, wychodząc naprzeciw aktualnym potrzebom.

Obraz Podhalańców narzuciło polskiemu społeczeństwu zakopiańskie *dobraniejsze niż gdzie indziej towarzystwo*, w pierwszym rzędzie Stanisław Witkiewicz, między innymi moją ukochaną książką *Na przełęczy*⁵.

(...) Górale, mając nadzwyczaj proporcjonalne członki, małe stopy i ręce, odznaczają się przy tym niezwykle zwinnością, lekkością i dobitnie akcentowaną celowością ruchów.

(...) Ponieważ to podobieństwo między treścią opowiadań Homera i Sabały mogłoby stanowić materiał osobnego studium, nie chcę zajmować tu miejsca dalszym tej sprawy rozbiorem, zaznaczę tylko, iż wartość artystyczna Sabały opowiadań, podług mnie, nieczęsto ustępuje pieśniom Homera.

[o Jurgowiance] To: haj! Jest takie, że niektórzy z nas po prostu ślaniają się, słysząc to dziwne gędziolenie jakby jakiegoś ptaka cudnego.

Siedzi oto na kamieniu pod smrekiem, z wdziękiem, spokojem i prostotą tak wykwinutą, jakiej nie daje żadna, najbardziej staranna tresura salonowa.

Ślaniają się, słysząc gędziolenie?

Widać od pierwszego rzutu oka, co prawda po pół wieku systematycznej lektury, ile może zdziałać egzaltacja jednego artysty, gdy trafi na podatny grunt i przestoczy się w pewnik, zostanie uznana za rzeczywistość. Minęło stulecie z okładem, a wciąż słyszymy o niezwykłej, nadludzkiej, heroicznej góralszczyźnie.

Neoromantyzm żyje, choć w przebraniu. Sto lat temu Michał Pawlikowski przetłumaczył kilkanaście strof *Iliady* na gwara, zdaniem tłumacza „jedyną żywą polską mowę epicką”.

Panno Święta! Ty sama zaświadczy, jako było
Wtedy, kiedy pasyją rozsierzdził się wściekłą

Peleusowy Achil. Tak się porobiło,
Że moc od gniewu tego znacznej krwi pociekło
I poniejedne życie chłopa ostawiło
Psom i hawraniom i precz wędrowało w piekło.
Tak już Bóg chciał od kiedy gniewy swoje kida
W nogach wartki Achilles i harnaś Atryda⁶.

Nasuwa się tu skojarzenie z *Historią filozofii po góralsku* księdza profesora Józefa Tischnera, przekładem *Nowego Testamentu* na podhalański, śpiewogrą *Na szkle malowane* Ernesta Brylla czy filmem *Janosik, prawdziwa historia* (2009), co prawda rozgrywającym się na Słowacji, ale bezwiednie kojarzonym z Podhalem.

Półtora stulecia temu Podhale i Łemkowszczyzna niewiele się różniły poziomem materialnym. Tu i tam bieda, dzisiaj niewyobrażalna. Dwudzieste stulecie wykopało przepaść między dwoma regionami tych samych północnych stoków Karpat. Podhalańcy i Łemkowie, ongiś bliscy krewni, żyją dzisiaj na innych planetach. A jeśli czasem się spotykają, nie mają sobie nic do powiedzenia.

Kilka razy do roku wpadam do Zakopanego w różnych sprawach i oddycham, a raczej posapuję z ulgą, że tu nie mieszkam, choć niewiele brakowało. Ale czasem tęsknota bez uprzedzenia chwyta za gardło, jak choćby przed paroma laty, po przeczytaniu w gazecie, że poniżej Drogi pod Regłami, ulicami Strążyską, Bogdańskiego, Drogą do Daniela, Drogą na Buńdówki, Mrażnicą, nawet po Małym Żywcańskim jesienią spacerują niedźwiedzie. Oczywiście wiem, że żyją również w Beskidzie Sądeckim, Niskim i Bieszczadach, ale te tatrzańskie jakoś bliższe sercu, bo przecie *naskie*, cóż na to poradzę, „czucie i wiara silniej mówi do mnie”... Sposobią się do snu zimowego, jedzą na co trafiają, mieszkańcy proszeni są o częste opróżnianie śmietników, zrywanie jabłek z drzew, zbieranie ich z trawy, bo niedźwiedzie mają znakomity węch. A skoro się przyzwyczają, będą przychodzić częściej i nauczą tego swoje młode.

Tam jest zabudowa jedyna w swoim rodzaju. Jak ją nazwać – osiedlem, kolonią, przysiółkiem, góralsko-inteligencką dzielnicą willową, pensjonaciarnią? Tęskno mi się zrobiło. Niedźwiedź może ot tak, podejść i zajrzeć w okna. Nie moje.

Przypisy

- ¹ Adam Rzepecki, *Podhale na Łemkowszczyźnie*. „Nasze Strony”, 28 września 1997.
- ² Henryk Szewczyk, *Sprzedane groby. Czy Łemkowie odzyskują swój cmentarz?* „Gazeta Krakowska”, 29 października 1989.
- ³ Szewczyk, *Sprzedane...*, dz. cyt.
- ⁴ Szewczyk, *Sprzedane...*, dz. cyt.
- ⁵ Ireneusz Dańko, Witold Piecuch, *Prywatne groby*. „Gazeta Wyborcza” 16 maja 2000.
- ⁶ Kazimierz Przerwa-Tetmajer, *Śpiący rycerze (Jak by o nich chłop opowiedzieć powinien)*.
- ⁷ Stanisław Witkiewicz, *Na przełęczy. Wrażenia i obrazy z Tatr*, Warszawa 1891.
- ⁸ *O wojnie Greków z Trojanami*, „Lamus” 1909, nr 1, i 1912-1913, nr 4. Za: Julian Tuwim, *Cicer cum caule czyli groch z kapustą, panopticum i archiwum kultury*, Czytelnik, Warszawa 1958.